

Thomas Ligotti

Czystość

Żyliśmy w wynajętym domu, nie pierwszym i nie ostatnim z długiej listy miejsc, w których moja rodzina zamieszkiwała przez lata mojego dzieciństwa. To było krótko po tym, jak się wprowadziliśmy do tego lokum, w którym ojciec wykladał nam swoją filozofię „wynajętego życia”. Tłumaczył nam wówczas, że życie w jakikolwiek inny sposób nie jest możliwe, a każda taka próba była najgorszą z możliwych form samooszukiwania. „Musimy aktywnie objąć rzeczywistość *nieposiadania*” – mówił mojej matce, mojej siostrze i mnie, wznosząc się nad nami ogromny niczym wieża, gestykulując swymi ciężkimi ramionami. „Nic nie należy do nas. Wszystko jest czymś, co jest wypożyczone. Nasze głowy są wypełnione zapożyczonymi ideami, przechodzącymi z jednego pokolenia na drugie. Obojętnie gdzie ostatecznie umiejscowione są wasze myśli; jest to tym samym miejscem, w którym umiejscowiły się myśli niepoliczalnej rzeszy innych osób; w którym zostawiły swoje odciski, tak jak pośladki tychże innych osób odcisnęły się na sofie, na której właśnie siedzicie. Żyjemy w świecie, gdzie każda powierzchnia, jakakolwiek opinia bądź pasja, wszystko razem jest skażone ciałami i umysłami obcych. Wszawica; intelektualno - fizyczna wszawica cudzej obecności rozpełza się wokół i ponad nami, cały czas. Przed tym nie ma ucieczki”

Jednak, gdy zamieszkiwaliśmy w tym domu, to właśnie mój ojciec wydawał się być najbardziej zdeterminowanym by tej ucieczki próbować. Była to rezydencja, o czym nieraz wspominał, o wyjątkowym stopniu „zawszenia”; umiejscowiona w złym sąsiedztwie, graniczącym z sąsiedztwem jeszcze gorszym. Miejsce to było także nieco nawiedzone, co zresztą było w mniejszym lub większym stopniu normą dla stacji, które ojciec decydował się wynajmować. Kilka razy do roku pakowaliśmy wszystkie rzeczy i przenosiliśmy się do innego miejsca, zawsze

utrzymując znaczny dystans pomiędzy kolejnymi lokalizacjami. I za każdym razem, gdy wkraczaliśmy po raz pierwszy do jednego z tych świeżo wynajętych domów, ojciec ogłaszał, że oto jest właśnie ten, gdzie mógłby czegoś dokonać. Później zaczynał spędzać coraz więcej czasu w piwnicy, czasami zaszywając się tam na całe tygodnie. Resztę rodziny obowiązywał bezwzględny zakaz naruszania tych ojcowskich, podziemnych terytoriów, dopóki nie zostaliśmy wyraźnie zaproszeni do współuczestnictwa w jego projektach. Przez większość czasu te zaproszenia dotyczyły wyłącznie mnie, jako że matka i siostra często zniknęły z domu, by uczestniczyć w różnych „podróżach”, o których naturze nie byłem nigdy informowany, jak i też rzadko udawało mi się zasłyszeć cokolwiek na ten temat, aż do ich powrotu. Ojciec traktował te nieobecności jako „nieznane mu bliżej wyjazdy badawcze”, maskując w sposób swoją kompletną ignorancję lub zwyczajny brak zainteresowania. Nic zatem dziwnego, że byłem na długi czas pozostawiany samemu sobie, co nie bardzo mi się podobało (najmniej tęskniłem za matką i jej europejskimi papierosami, zasmradzającymi powietrze wokół domu). Jak reszta rodziny, nauczyłem się jednak zajmować sobą na różne, zawsze pełne całkowitej pasji sposoby, nie zważając na to, czy pasje owe były w jakikolwiek sposób zapożyczone.

Pewnego wieczoru, późną jesienią, gdy siedziałem w swojej sypialni na piętrze przygotowując się do małej eskapady, zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Było to, można powiedzieć, niecodzienne wydarzenie w naszym domu. W tym czasie moja matka i siostra przebywały na wyjeździe, a mój ojciec nie wychodził z piwnicy od wielu dni. Wyglądało na to, że to ja będę musiał odpowiedzieć na ów niezwykle sygnał, którego nie słyszałem odkąd wprowadziliśmy się do tego domu, i którego nie przypominałem sobie abym słyszał w którymkolwiek z wynajmowanych domów, w których spędziłem dzieciństwo (z jakichś przyczyn wierzyłem, że ojciec odłączał wszystkie dzwonki zaraz po tym, jak przenosiliśmy się do każdego nowo wynajętego). Szedłem niepewnym krokiem, mając cały czas nadzieję, że intruz, bądź intruzi, zdążą odejść zanim dojdę do drzwi. Dzwonek znów zadzwonił. Szczęśliwie, mój ojciec

wyszedł z piwnicy. Stałem ukryty w cieniu, na szczycie schodów, gdy ujrzałem jego masywną postać jak przemierza salon, zdejmując z siebie brudny strój laboratoryjny, który przed dojściem do drzwi frontowych został ciśnięty w kąt. Oczywiście, myślałem, że mój ojciec spodziewa się gościa, który być może miał coś wspólnego z pracami w piwnicy. Jednakże szybko stało się oczywiste, że chodzi o coś innego, przynajmniej tyle mogłem wnioskować z tego, co udało mi się podsłuchać ze szczytu schodów.

Brzmienie głosu sugerowało, że gościem był młody mężczyzna. Ojciec zaprosił go od środka, mówiąc w bezpośredni i uprzejmy sposób, co do którego wiedziałem, że był całkowicie wymuszony. Byłem ciekaw, jak długo zdoła utrzymać zupełnie niewłaściwy sobie ton konwersacji, do której zaprosił młodego człowieka do salonu, gdzie mogliby porozmawiać „bez pośpiechu”; co w ustach mojego ojca zabrzmiało zupełnie dziwnie.

- Jak już wspominałem przy wejściu, proszę Pana, – powiedział młody człowiek – obchodzę tę okolicę, opowiadam ludziom o pewnej bardzo wartościowej organizacji.

- „Obywatele dla wiary” – wtrącił ojciec

- Czytał Pan coś o naszej grupie?

- Mogę przeczytać napis na znaczku, który ma pan wpięty do klapy marynarki. To wystarczy mi, bym mógł zrozumieć ogólne zasady, którymi się Pan kieruje.

- Więc może byłby pan zainteresowany udzieleniem wsparcia? – powiedział młody mężczyzna.

- Rzeczywiście, byłbym.

- To wspaniale.

- Ale tylko pod warunkiem, że pozwoli mi Pan rzucić wyzwanie tym Pańskim absurdalnym zasadom – poddać je pewnemu testowi. Szczerze powiedziawszy, miałem właśnie nadzieję, że Pan lub ktoś taki jak Pan, przyjdzie do mnie. To prawie tak, jakby szczęśliwe zrządzenie losu sprowadziło pana do tego domu; gdybym oczywiście wierzył w coś równie niedorzecznego.

Tak oto skończył się krótkotrwały kompromis ojca na rzecz bezpośredniości i uprzejmości.

- Słucham? – powiedział młody człowiek, marszcząc brwi w lekkim niezrozumieniu.

- Wyjaśnię. Ma Pan te dwie zasady w Pańskiej głowie i są to prawdopodobnie jedyne zasady, które trzymają tę głowę w jednym kawałku. *Pierwszą* jest zasada narodów, państw, całego tego harmidru z ziemiemi matek i ziemiemi ojców. *Drugą* jest zasada bóstw. Żadna z nich nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To jedynie zanieczyszczenia, zatruwające Pańską głowę. Jednym zdaniem – Obywatele dla Wiary – zaprzęgliście dwie z *trzech* głównych zasad – bądź nieczystości – które muszą zostać wyeliminowane, całkowicie wykorzenione, zanim nasz gatunek zacznie się zbliżać do czystej koncepcji istnienia. Bez tej czystej koncepcji, lub czegoś bliskiego czystej koncepcji, wszystko jest nieszczęściem i tym nieszczęściem pozostanie.

- Rozumiem, jeśli nie chce Pan przekazać datku. – powiedział młody człowiek, lecz w tym momencie ojciec sięgnął ręką do prawej kieszeni spodni i wyciągnął rulon banknotów, zabezpieczonych cienką gumką. Podniósł zwitek przed oczy młodego człowieka.

- To jest dla Pana, ale jeśli tylko da mi Pan szansę, by wziąć te okropne zasady i wyczyścić z nich Panu głowę.

- Nie sądzę, aby moja wiara była wyłącznie czymś w mojej głowie.

Aż do tego momentu sądziłem, że ojciec drażnił słownie młodego człowieka dla czystej rozrywki; być może po to, aby na chwilę oderwać uwagę do prac, w które tak mocno angażował się od kilku dni. Wtedy usłyszałem coś, co w moich uszach zabrzmiało jak olbrzymia zmiana w słowach ojca, znamionująca moment przejścia ze stanowiska zatwardziałego ikonoklasty, którego grał, do trochę zdesperowanego i kierowanego szacunkiem do młodego mężczyzny.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem w żaden sposób sugerować, że cokolwiek z tego, o czym mówimy, jest *tylko* w Pańskiej głowie. Jakże coś takiego mogłoby być prawdą, jeśli sam dobrze wiem, że coś takiego zamieszkuje właśnie ten dom?

- On jest we wszystkich domach. – powiedział młody człowiek. - We wszystkich miejscach.

- Tak, rzeczywiście. Ale coś takiego jest szczególnie mocno obecne właśnie tutaj.

Podejrzałem, że mój ojciec odniósł się do nawiedzonego stanu naszego wynajętego domu, choć ten ledwie zasługiwał na takie określenie. Sam kiedyś asystowałem mu w małym projekcie mającym z tym jakiś związek, więc określenie to mogło być zasadne, przynajmniej o tyle, o ile sprawę tę ojciec mi naświetlił. Pozwolił mi nawet zachować wspomnienie tego „eksperymentu pierwszego stopnia”, jak go sam nazwał. Byłem też całkowicie pewien, że ojciec czyni aluzje do naszej piwnicy.

- W piwnicy? – zapytał młody człowiek.

- Tak. – powiedział mój ojciec. Mogę Panu pokazać.

- Nie w mojej głowie, ale w Pańskiej piwnicy... – powtórzył młody człowiek, usiłując zrozumieć to, co twierdził ojciec.

- Tak, tak. Proszę mi pozwolić Panu pokazać. A po wszystkim wesprę Pańską organizację naprawdę hojnym datkiem. Co Pan na to?

Młody człowiek nie odpowiedział od razu i być może było to przyczyną, dla której ojciec szybko mnie zawołał. Cofnąłem się o kilka kroków, odczekałem chwilę i zszedłem ze schodów, jak gdybym w ogóle nie podsłuchiwał przez ten czas.

- To jest mój syn. – powiedział ojciec do młodego człowieka, który wstał i podał mi rękę. Był chudy i nosił znoszoną marynarkę, zupełnie tak, jak sobie to wyobrażałem, podsłuchując na szczycie schodów.

- Danielu, ja i ten dżentelmen mamy pewną sprawę do załatwienia. Chciałbym, abyś zobaczył, że wszystko jest w porządku i nie ma powodów do niepokoju.

Stałem tam, jakbym miał zamiar posłusznie dostosować się do tych poleceń. Mój ojciec wówczas odwrócił się w stronę młodego człowieka, wskazując mu drogę do piwnicy.

- Nie zajmie nam to wiele czasu.

Nie ma wątpliwości, że moja obecność – a właściwie *normalność* płynąca z mojej obecności – była czynnikiem, który zadecydował o tym, że młody

człowiek zdecydował się iść do piwnicy. Mój ojciec z pewnością o tym wiedział. Nie wiedział natomiast, ani nawet by się nie przejmował tym, że cicho opuściłem dom, kiedy tylko zamknął drzwi za sobą i swoim gościem. Rozważałem wcześniej pozostanie w domu, żeby tylko dowiedzieć się czegokolwiek na temat tego, w jaką fazę weszły eksperymenty mojego ojca, tym bardziej, że uczestniczyłem w nich na wczesnych etapach. Jednakże tej nocy chciałem się zobaczyć z moją przyjaciółką, która mieszkała w okolicy.

Ściśle rzecz ujmując, moja przyjaciółka nie mieszkała w tym *złym* sąsiedztwie, w którym moja rodzina wynajmowała dom, ale w tym jeszcze *gorszym*, znajdującym się nieopodal. Leżało ono ledwie kilka ulic dalej, ale różnicę pomiędzy okolicą, gdzie niektóre domy miały zakratowane drzwi i okna, a okolicą w której domów nie osłaniało, nie chroniło kompletnie nic i w jakikolwiek sposób, było widać na pierwszy rzut oka. To był całkowicie inny świat... zwichnięty raj niebezpieczeństwa i rozpadu... walących się domów upakowanych niezwykle blisko siebie... wypalonych domów chylących się ku zupełnej zagładzie...domów ziejących czarnymi wyrwami, gdzie niegdyś były drzwi i okna...i pustych pól, nad którymi świecił księżyc, który w jakiś sposób był inny niż ten, widziany gdziekolwiek indziej na Ziemi.

Czasami widywało się tam osobno stojący dom, zawieszony na krawędzi otwartego pola cieni i potłuczonego szkła. I ten dom mógłby być tak powyginany przez rujnację, że możliwość, iż mógł być zamieszkały, zsyłała wyobrażenia opadające wirem w otchłań czarnych tajemnic. Jeśli podejść bliżej, można by zaobserwować cienkie, złachmanione prześcieradło w miejscu, gdzie powinny znajdować się zasłony. Ostatecznie, po wydłużonej kontemplacji, można było dostrzec w głębi wnętrza cud łagodnego, drżącego blasku.

Niedługo po tym, jak moja rodzina wprowadziła się do okolicy, gdzie takie miejsca nie były niczym niezwykłym, znalazłem jeden dom, który nie był niczym innym, niż idealnym przykładem tego typu rezydencji, którą przed chwilą opisałem. Moje oczy skupiły się na niej, wpatrzony jakby były świadkami jakiejś cudownej wizji. Wtedy jedno

z prześcieradeł zakrywających frontowe okno poruszyło się lekko i głos jakiejś kobiety zawołał mnie, kiedy tak stałem, chwytając się na połamanych pozostałościach chodnika.

- Hej, Ty! Chłopcze, masz przy sobie jakieś pieniądze?

- Trochę. – odparłem.

- Czy w takim razie mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- Co? – zapytałem.

- Czy mógłbyś iść do sklepu i przynieść mi paluszki salami? Tylko te długie, nie krótkie. Zapłacę Ci, gdy wrócisz.

Kiedy przyszedłem ze sklepu, kobieta ponownie zawołała mnie przez jaśniejące prześcieradło.

- Tylko uważaj na schodkach przy werandzie. – powiedziała. – Drzwi są otwarte.

Jedyne światło wewnątrz domu emanowało z małego telewizora umiejscowionego na metalowym stojaku. Telewizor stał naprzeciw sofy, która wydawała się być od jednego krańca do drugiego zajęta przez czarną kobietę nieokreślonego wieku. W lewej ręce trzymała słoik majonezu, zaś w prawej surowego hot – dog, ostatniego z pustej paczki, leżącej na nagiej podłodze domu. Zanurzyła kielbaskę w majonezie, po czym wyjęła i zjadła bez odwracania wzroku od telewizora. Po oblizaniu palców z resztek majonezu, zakręciła słoik i położyła na krawędzi sofy, która wydawała się być jedynym meblem w pokoju. Podałem jej paluszki salami, a ona zaś włożyła mi do ręki pieniądze. Była to dokładnie suma, którą zapłaciłem w sklepie plus jeden dolar.

Trudno było mi uwierzyć, że stałem właśnie w jednym z tych domów, które podziwiałem, odkąd moja rodzina sprowadziła się do tej okolicy. Noc była zimna, a dom nie był ogrzewany. Telewizor musiał działać na baterie, ponieważ nie miał żadnego kabla elektrycznego za sobą. Czułem się, jakbym przekroczył jakąś wielką barierę, za którą znajdowało się miejsce opuszczone przez świat; samo w sobie odcięte od rzeczywistości. Chciałem zapytać kobietę, czy mógłbym skulić się w którymś z rogów domu i nigdy już nie wychodzić. Zamiast o to, zapytałem, czy mógłbym skorzystać z łazienki. Spojrzała na mnie cicho

przez moment, po czym sięgnęła za poduszki. Wyjęła stamtąd latarkę. Podała mi ją i powiedziała „Użyj tego i uważaj na siebie. To drugie drzwi w głębi korytarza. Nie pierwsze drzwi, ale drugie. I nie wpadnij do środka.”

Idąc w głąb korytarza, skupiałem światło latarki na zniszczonej, brudnej drewnianej podłodze ledwie kilka stóp przede mną. Otworzyłem drugie drzwi, nie pierwsze, zamknąwszy je następnie za sobą. Pokój, w którym się znalazłem, nie był toaletą, ale obszernym schowkiem. Na jego końcu znajdowała się dziura w podłodze. Zaświeciłem tam i ujrzałem, że otwór prowadził wprost do piwnicy. Na samym dole znajdowały się kawałki roztrzaskanego zlewu i komoda, która musiała tam wpaść razem z podłogą łazienki, znajdującej się zapewne za pierwszymi drzwiami, które minąłem w korytarzu. Ponieważ noc była zimna, a dom nie był ogrzewany, zapach nie był jakoś strasznie silny. Ukląknę na krawędzi otworu i zaświeciłem latarką do środka tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć cienki snop światła. Ale jedyne, co dostrzegłem, to porozbijane butelki porzucane pomiędzy nawarstwionymi stertami odchodów. Pomyślałem o tym, co jeszcze innego mogło być w piwnicy i... zagubiłem się w tych myślach.

- Hej, chłopcze... - usłyszałem wołanie kobiety. - Czy wszystko w porządku?

Kiedy wróciłem na przód domu, zauważyłem, że kobieta miała innych gości. Kiedy zasłonili swoje twarze dłońmi, zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam w ręku świecąca latarkę. Wyłączyłem ją i podałem kobiecie siedzącej na sofie.

- Dziękuję – powiedziałem, manewrując pomiędzy innymi, zmierzając w stronę drzwi. Zanim wyszedłem, odwróciłem się jeszcze w stronę kobiety i zapytałem, czy będę mógł jeszcze wrócić do tego domu. - Jeżeli tylko chcesz. – powiedziała. Upewnij się tylko, że będziesz miał dla mnie te paluszki salami.

W taki sposób poznałem moją przyjaciółkę Candy, której dom odwiedziłem jeszcze wiele razy od naszego pierwszego spotkania tamtej ekscytującej nocy. Podczas niektórych wizyt, które nie zawsze miały

miejsce nocą, zajmowała się swoimi sprawami, a ja nie wchodziłem jej w drogę, podobnie jak wielu innych ludzi, młodych i starych, czarnych i białych, przychodzących i wychodzących. Czasami, gdy Candy nie była tak zajęta, siadałem obok niej na sofie i razem oglądaliśmy telewizję. Czasami rozmawialiśmy, choć nasze rozmowy były raczej dość krótkie i pobieżne, wygasające szybko, gdy tylko docieraliśmy do jakiejś przepaści, która dzieliła nasze życia i nie mogła być przekroczona przez żadne z nas. Na przykład, kiedy opowiedziałem jej o cuchnących europejskich papierosach mojej matki, Candy miała problem ze zrozumieniem słowa „europejski”, albo też – być może – z samym słowem jako takim. Podobnie zresztą było, gdy okazywałem się niezdolnym do złapania jakiegoś kontekstu z mojego własnego życia, który pozwoliłby mi na zrozumienie tego, co Candy czasami wtrącała, kiedy tak oglądaliśmy razem telewizję. Odwiedzałem ją tak już od miesiąca, kiedy, zupełnie niespodziewanie, Candy powiedziała do mnie:

- Wiesz, miałam kiedyś synka, który był w twoim wieku.

- Co się z nim stało? – zapytałem

- Został zamordowany – odpowiedziała, jak gdyby to stwierdzenie było wyjaśnieniem samo w sobie i nie wymagało żadnych uzupełnień. Nigdy nie nakłaniałem Candy do rozwinięcia tego tematu, ale nie mogłem zapomnieć jej słów lub też zrezygnowanego, chłodnego głosu, którym te słowa wypowiedziała.

Później dowiedziałem się, że kilkoro dzieci zostało zabitych w sąsiedztwie Candy, niektóre z nich rozpoznano jako ofiary mordercy dzieci, który grasował w najgorszych częściach miasta na lata przed tym, zanim moja rodzina się sprowadziła (W rzeczywistości ostrzegła mnie, wyjątkowo zresztą nieszczerze, moja matka, która wspomniała o „jakimś niebezpiecznym zbrodniarzu”, potajemnie podrzynającym gardła dzieci, w „tej strasznej okolicy, gdzie mieszkali moi przyjaciele”, jak sama się wyraziła.).

Tej nocy, kiedy opuściłem nasz dom po tym, gdy mój ojciec zniknął w piwnicy z młodym człowiekiem w znoszonej marynarce, rozmyślałem o mordercy dzieci idąc ulicą prowadzącą do domu Candy. Te

ulice przykuły mnie do siebie, odkąd dowiedziałem się o zabójstwach, co było dla mnie jak koszmar, który rozwija swoją hipnotyczną moc przymuszającą umysł do oglądania obrazów i zdarzeń raz za razem bez względu na to, jak bardzo mocno chce się o nich zapomnieć. Mimo że nie byłem zainteresowany stanieniem się ofiarą mordercy, groźba takiej rzeczy przytrafiającej się właśnie mnie, pogłębiła moją fascynację tymi stłoczonymi domami i wąskimi przestrzeniami pomiędzy nimi, rzucającymi kolejny cień ponad tymi, którymi okolica była już przykryta.

Kiedy szedłem tak do domu Candy, trzymałem jedną z dłoni w kieszeni kurtki, gdzie schowałem coś, co mój ojciec skonstruował na wypadek gdyby, by sparafrazować mojego niebywale pomysłowego rodzica, ktokolwiek kiedykolwiek usiłował wyrządzić mi osobistą krzywdę. Moja siostra dostała identyczny gadżet, który wyglądał trochę jak wieczne pióro (Ojciec przykazał nam, abyśmy nikomu nie wspominali o tych urządzeniach, nawet matce, która zresztą kupiła sobie kiedyś, dla samoobrony, małokalibrowy automatyczny pistolet). Kilkukrotnie chciałem pokazać ten tajemniczy instrument Candy, ale ostatecznie nigdy nie zламаłem przyrzeczenia danego ojcu. Pomimo to, było coś jeszcze, co dał mi ojciec, a co trzymałem w małej, papierowej torbie, huśtającej się u mojego boku, uradowany, że będę mógł pokazać to Candy tej nocy. Nie wiązały się z tym żadne restrykcje, choć prawdopodobnie mojemu ojcu nawet nie przyszło do głowy, że mógłbym w ogóle chcieć uczynić coś podobnego.

To, co niosłem, zawierało się w małym, pękatym słoiczku wewnątrz papierowej torby i było produktem ubocznym, można powiedzieć, pierwszej fazy eksperymentu, w której asystowałem ojcu nie tak długo po tym, jak wprowadziliśmy się do naszego wynajętego domu. Wspominałem już, że jak wiele innych domów, w których moja rodzina żyła na przestrzeni lat mojego dzieciństwa, także nasza obecna rezydencja była nasycona pewnym aspektem nawiedzenia, jakkolwiek w tym przypadku akurat dość łagodnym. Szczególnie nawiedzenie to manifestowało się w wyczuwalny sposób na strychu naszego domu, gdzie spędziłem mnóstwo czasu, zanim zacząłem regularnie odwiedzać Candy.

Szczerze powiedziawszy, z mojego doświadczenia wynikało, że nie było nic szczególnie godnego uwagi w tejże obecności. Wydawała się być skoncentrowana niedaleko drewnianych belek, przebiegających przez całą długość strychu i na których, jak sobie to wyobrażałem, których z poprzednich mieszkańców domu mógł popełnić samobójstwo przez powieszenie. Tego typu spekulacje w ogóle nie interesowały mojego ojca, który silnie sprzeciwiał się możliwości istnienia zjaw i duchów jakiegokolwiek rodzaju, a nawet w ogóle samemu używaniu tych określeń. „Nie ma nic na strychu” – wyjaśniał mi. „To tylko sposób, w jaki Twoja głowa wchodzi w interakcję z jego przestrzenią. Są tam pewne pola sił, które występują wszędzie. I te siły, z przyczyn mi jeszcze nie znanych, w niektórych miejscach są bardziej zintensyfikowane niż w innych. Rozumiesz? To nie strych nawiedza Twoją głowę, ale Twoja głowa nawiedza strych. Niektóre głowy są bardziej nawiedzone niż inne, niezależnie od tego, czy są nawiedzone przez duchy, bogów lub stwory z kosmosu. Te rzeczy nie są prawdziwe. Niemniej, są *indyktywem* sił rzeczywistych; ożywczych i nawet kreatywnych sił, które Twoja głowa pojmuje jako zjawy lub cokolwiek innego. Pomożesz mi to udowodnić, pozwalając mi użyć mojej aparatury w piwnicy, by usunąć z Twojej głowy te wszystkie rzeczy, o których myślisz, że nawiedzają strych. To „wyplukanie” będzie mieć miejsce w pewnej bardzo małej części głowy, ponieważ gdybym odprowadził całość... mniejsza z tym. Wierz mi, nie poczujesz nic.”

Kiedy było już po wszystkim, przestałem odczuwać tamtą obecność na strychu. Mój ojciec usunął ją i umieścił w małym słoiczku, który dał mi, gdy przeprowadzał badania, ów „eksperyment pierwszej fazy” na polu, na którym, nieznanym innym naukowcom zajmującym się podobnymi rzeczami, był najprawdziwszym Kopernikiem lub Galileuszem lub innym kimkolwiek ważnym. Tak czy inaczej, jest już chyba oczywiste, że nie podzielałem naukowych zainteresowań ojca. I choć nie odczuwałem już tamtej obecności na poddaszu, wciąż nie mogłem się uwolnić od obrazu kogoś wieszającego się na drewnianej belce biegnącej przez całą długość samotnego strychu i zostawiającego za sobą

niewidzialny szlak do innego świata. Dlatego też byłem zachwycony, gdy odkryłem, że to poczucie obecności wróciło do mnie w tej przenośnej formie małego słoiczka, który, gdy trzymałem go delikatnie w rękach, przekazywał mi nawet jeszcze mocniejsze poczucie nadnaturalności niż to, którego doświadczałem uprzednio. I to było właśnie to, co niosłem do Candy tamtej nocy późną jesienią.

Kiedy wszedłem do jej domu, nie działo się nic, co mogłoby odwrócić naszą uwagę od tego, co chciałem jej pokazać. Były tam wprawdzie jakieś dwie osoby, które siedziały naprzeciw ściany po drugiej stronie pokoju, ale wydawały się zupełnie bierne, by nie rzec, że zupełnie nieświadome tego, co działo się wokół nich.

- Co przyniosłeś dla Candy? – zapytała mnie, spoglądając na papierową torbę, którą trzymałem w ręce. Usiadłem na sofie obok niej, a ona przysunęła się do mnie.

- To jest coś... - zacząłem mówić jak tylko wyjąłem słoiczek z torebki, trzymając go za wieczko. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma takiej możliwości, abym mógł zakomunikować jej czym było to, co przyniosłem. W żadnym wypadku nie chciałem sprawiać jej przykrości w jakikolwiek sposób, ale nie było nic, co mógłbym powiedzieć, aby ją jakoś przygotować.

- Nie otwieraj tego teraz, po prostu potrzymaj.

- Wygląda jak galaretka. – powiedziała, gdy umieściłem słoiczek w jej mięsistych dłoniach.

Na szczęście zawartość pojemnika nie przedstawiała jakiegoś niepokojącego widoku, a w jaśniejącym świetle telewizora prezentowała się nawet dość spokojnie. Candy delikatnie chwyciła słoiczek, jakby była świadoma cennej natury tego, co znajdowało się wewnątrz. Wyglądała na zupełnie spokojną, wręcz zrelaksowaną. Nie miałem pojęcia, jaka mogła być jej reakcja. Wiedziałem tylko, że chcę podzielić się z nią czymś, czego w inny sposób mogłaby nie poznać w swoim życiu; tak jak ona podzieliła się ze mną cudami swojego domu.

- O mój Boże... – wykrzyknęła delikatnie – Wiedziałam. Wiedziałam, że nie odszedł ode mnie. Wiedziałam, że nie byłam sama.

Później dotarło do mnie, że to, czego byłem świadkiem potwierdzało jedynie twierdzenia ojca. Tak jak moja głowa nawiedzała strych obecnością kogoś, kto się powiesił, tak teraz Candy nawiedzała mały słoiczek obecnością mającą źródło w niej samej; obecnością, która była zupełnie odmienna od mojej. Wyglądała, jakby chciała zatrzymać ten słoiczek na zawsze. Jak zwykle, „na zawsze” musiało się szybko skończyć. Jakiś samochód zatrzymał się przed domem Candy. Kierowca szybko wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Candy, – powiedziałem – ktoś ma jakąś sprawę.

Musiałem wyszarpnąć słoiczek z jej uchwytu, ale ostatecznie puściła go i obróciła się w stronę drzwi. Jak zwykle, powędrowałem do jednego z tylnych pokoi domu; do pustej sypialni, w której lubiłem kulić się w rogu i rozmyślać o tych wszystkich śpiących ciałach, które śniły tutaj przez wszystkie te niepoliczalne noce. Tym razem nie schowałem się w rogu. Zamiast tego, obserwowałem uważnie, co działo się z przodu domu. Samochód, który nadjechał, zatrzymał się zbyt agresywnie, w zbyt ostentacyjny sposób, zaś człowiek w długim płaszczu, który szedł w stronę domu, szedł również zbyt agresywnym i ostentacyjnym krokiem. Popchnął drzwi domu Candy i zostawił je otwarte po tym, jak wszedł do środka.

- Gdzie jest biały dzieciak? – zapytał człowiek w długim płaszczu.

- Tu nie ma żadnych białych ludzi – odparła Candy, która przeniosła spojrzenie na telewizor. Żadnego, oprócz ciebie.

Człowiek przeszedł nad dwoma postaciami poprzez pokój, każdą z nich szturchając stopą.

- Jeśli nie wiedziałaś, to jestem tym, który pozwala ci robić interesy.

- Wiem, kim jesteś, panie policyjny detektywie. Jesteś tym, który zabrał mojego chłopca. Inne dzieci też zabrałeś, wiem o tym.

- Zamknij się gruba, przyszedłem tu po białego dzieciaka.

Wyciągnąłem pióro z kieszeni i zdjąłem końcówkę, odsłaniając krótką, grubą igłę przypominającą ostrze pinezki. Trzymając pióro przy boku, ale poza widokiem, poszedłem korytarzem.

- Czego chcesz? – zapytałem mężczyzny w długim płaszczu.

- Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu, mały.

Jeśli było w moim życiu coś, co mógłbym określić jako zimną, abstrakcyjną wręcz pewność, to było właśnie to: jeśli poszedłbym z tym człowiekiem, z pewnością nie wróciłbym do domu.

- Łap! – powiedziałem, rzucając słoiczek w jego stronę.

Chwycił go obie ręce i na moment jego twarz rozjaśnił uśmiech. Nigdy wcześniej nie widziałem uśmiechu niknącego tak szybko lub tak całkowicie. Gdybym mrugnął, przegapiłbym tę przykrą przemianę. Wyglądało to tak, jakby słoiczek sam wyskoczył z jego rąk na podłogę. Otrząsnąwszy się, mężczyzna zrobił krok w moją stronę i chwycił mnie. Nie mam przesłanek, by uważać, że Candy lub te dwie inne osoby w pokoju zauważyły, jak wbijam pióro w jego nogę. Zobaczyli natomiast człowieka w długim płaszczu puszczającego mnie i zwalającego się bezwładnie na ziemię. Bez dwóch zdań, efekt był natychmiastowy. Jedna z dwóch postaci wyszła z cienia i szturchnęła stopą leżącego w ten sam pogardliwy sposób, którego niedawno odeń doświadczyła.

- On nie żyje, Candy – powiedziała postać.

- Jesteś pewien?

Drugi człowiek wstał i kopnął głowę mężczyzny na podłodze.

- Na to wygląda – powiedział.

- Jestem naprawdę zaskoczona. – powiedziała Candy, spoglądając w moją stronę. – Jest cały wasz. Nie chcę nic od niego.

Znalazłem słoiczek, który na szczęście się nie stłukł, po czym usiadłem obok Candy. W ciągu paru minut dwie postaci rozebrały trupa aż do spodenek. Wtedy jedna z nich zaczęła ściągać i je, mówiąc „Wyglądają na praktycznie nowe”. Jednakże, zaprzestała tego, gdy tylko zobaczyła, co znajdowało się pod nimi. Wszyscy to ujrzeliśmy, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Zastanawiałem się, czy inni byli tak samo zmieszani jak ja. Zawsze myślałem o tych sprawach w jakimś idealnym sensie, jak o jakiejś mitycznej koncepcji nieziennej od stuleci. Ale to nie było nic takiego.

- Dajcie go do dziury! – krzyknęła Candy, która wstała z sofy, pokazując na korytarz. – Dajcie go do tej choleralnej dziury!

Zaciągnęli zwłoki do schowka i wrzucili do piwnicy. Było słyhać tylko plaśnięcie nagiego ciała uderzającego w podłogę na dole. Kiedy postaci wyszły ze schowka, Candy powiedziała:

- A teraz zabierajcie stąd jego rzeczy, zabierajcie samochód, siebie też zabierajcie!

Przed wyjściem z domu jeden z ludzi obrócił się.

- Tu jest kupa forsy, Candy. Możesz jej potrzebować na podróż. Nie możesz tu zostać.

Ku mojej uldze, Candy wzięła część pieniędzy. Wstałem z sofy i położyłem słóiczek na poduszce obok mojej przyjaciółki.

- Gdzie teraz pójdziesz? – zapytałem.

- W mieście jest mnóstwo miejsc takich jak to. Bez ogrzewania, elektryczności, bez kanalizacji. I bez kosztów wynajmu. Wszystko będzie ze mną w porządku.

- Nic nie powiem.

- Wiem, że nie powiesz. Do zobaczenia, chłopcze.

Pożegnałem się i powędrowałem powoli w stronę domu, rozmyślając o tym, co znajdowało się teraz w piwnicy domu Candy.

Kiedy już wróciłem, było po północy. Moja matka i siostra również musiały już wrócić, ponieważ mogłem wyczuć smród europejskich papierosów mojej matki jak tylko wszedłem do środka. Ojciec leżał na kanapie w salonie, całkowicie wyczerpany po tylu dniach pracy w piwnicy. Wydawał się także dość wstrząśnięty, jego oczy, szeroko otwarte, wpatrywały się przed siebie, a głowa poruszała się do tyłu i do przodu w geście zdegustowania lub ciągłego przeczenia, albo jednego i drugiego, zaś jego głos wielokrotnie powtarzał „beznadziejne nieczystości, beznadziejne nieczystości”. Słuchanie tego pozwoliło mi uwolnić myśli od tego, co widziałem u Candy. Przypomniało mi też, że chciałem zapytać ojca o coś, co powiedział tamtemu młodemu człowiekowi w znoszonej marynarce, który odwiedził nasz dom wcześniej, tamtej nocy. Ale w stanie, w którym był w tej chwili, nie sprawiał wrażenia kogoś, z kim można by rozmawiać na taki temat. W ogóle nie wyglądał na kogoś, kto był świadomy mojej obecności. Jako że nie miałem

ochoty spotykać się z matką i siostrą, które, jak słyszałem, chodziły na piętrze (prawdopodobnie wciąż rozpakowując się ze swojej podróży), zdecydowałem się wykorzystać okazję, aby naruszyć ojcowski zakaz wchodzenia do piwnicy bez jego wyraźnego pozwolenia. Jak wierzyłem, mogło mi to dostarczyć czegoś, co oderwałoby mnie od przykrych wydarzeń tamtej nocy.

Jednakże gdy tylko zszedłem po schodach do piwnicy ojca, poczułem się, jakby mój umysł i zmysły zostały znów zaciągnięte do mrocznego rejonu podziemi domu Candy. Zanim jeszcze osiągnąłem dół schodów, przytłoczyła mnie atmosfera ruin i szczątków, bezdenne chaosu, która, co z przyjemnością odkryłem, wciąż była dla mnie zniewalająca. I kiedy zobaczyłem stan, w jakim rzeczy znajdowały się na dole, zostałem ogarnięty poczuciem trwożliwej bojaźni, której nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Wszystko wokół było w kawałkach. Wyglądało to tak, jakby mój ojciec wziął siekiere i porąbał całą aparaturę, w której pokładał wszystkie swoje nadzieje na ukończenie zadania, które tylko on sam chciał ukończyć. Druty i kable zwisały z sufitu, wszystkie splatane i rozbujałe niczym pnącza w dżungli. Thusty, zielonkawy płyn ciekł po podłodze, sącząc się do kanałów. Brodziłem w grubej warstwie potłuczonego szkła i potarganych papierów. Sięgnąłem po jedną ze stron wściekle wyrwanych z opasłych notatników ojca. Szczegółowe wykresy i rysunki były zamazane słowami i zdaniem, napisanymi grubym, czarnym flamastrem. Strona po stronie – każda miała słowo NIECZYSTE wybazgrane na niej, jak graffiti na ścianach publicznej toalety. Inne powtarzające się wykrzyknienia głosiły: NIC TYLKO NIECZYSTOŚCI, NIECZYSTE GŁOWY, NIC NIE WYJAŚNIONE, NIE MA CZYSTEJ KONCEPCJI, NIEMOŻLIWE NIECZYSTOŚCI, i, ostatecznie, SIŁY NIECZYSTEGO WSZECHŚWIATA.

Na odległym końcu piwnicy zobaczyłem hybrydowe urządzenie, które wyglądało jak połączenie królewskiego tronu i krzesła elektrycznego. Do urządzenia, przymocowany pasami, zapiętymi wokół rąk, nóg i głowy, był młody człowiek w znoszonej marynarce. Jego oczy

były otwarte, ale nie było w nich świadomości. Zauważyłem, że tłusty, zielonkawy płyn miał swoje źródło w zbiorniku o rozmiarze butli z dystrybutora wody; stojącym obok dużego krzesła. Na pojemniku znajdowała się etykieta z taśmy maskującej, na której napisano „spływ”. Jakiegokolwiek zjawy, duchy czy inne istoty zamieszkiwały głowę młodego człowieka, wszystkie spływały właśnie do ścieków. Musiały coś utracić, być może zwiędziały, raz wypuszczone z pojemnika, gdyż nie wyczuwałem żadnej widmowej aury - ani złośliwej lub dobrotliwej - emanującej z resztek substancji. Nie byłem w stanie określić, czy młody człowiek jeszcze żył w jakimkolwiek konwencjonalnym sensie tego słowa. Być może. Tak czy inaczej, znajdował się w takim stanie, że znów musieliśmy szukać innego domu, w którym moglibyśmy zamieszkać.

- Co tu się stało? - zapytała moja siostra z drugiej strony piwnicy.

- Wygląda na to, że kolejny z projektów taty przybrał zły obrót.

- Rzeczywiście, na to wygląda. - odparłem, wracając w stronę schodów.

- Jak myślisz, czy ten człowiek miał przy sobie dużo pieniędzy?

- Nie wiem. Pewnie tak. Zbierał tutaj datki dla jakiejś organizacji.

- To dobrze, bo ja i mama wróciliśmy kompletnie splukane. I to nie, żebyśmy wydały aż tyle...

- Gdzie byliście? - zapytałem, siadając obok siostry.

- Wiesz, że nie wolno mi o tym rozmawiać.

- Musiałem zapytać.

Po chwili, moja siostra zapytała, szepcząc:

- Danielu, wiesz, czym jest hermafrodyta?

Usiłowałem jak najlepiej ukryć moją reakcję na pytanie siostry, nawet jeśli wywołało ono prawdziwy zamęt obrazów i emocji, rodzących się we mnie. To było to, co wzbudziło tak wielkie zmieszanie, gdy zobaczyłem ciało detektywa. W mojej wyobraźni zawsze obrazowałem sobie schludne oddzielenie poszczególnych części. Ale to nie było nic takiego, na co wcześniej zwracałem uwagę. Wszystko było wymieszane ze sobą. Dziękuję, Eliso. Pomimo jej posłuszeństwa wobec zasady całkowitego milczenia, którą wprowadziła matka, moja siostra zawsze znajdowała sposób, żeby zdradzić mi, czym się zajmowały.

- Dlaczego o to pytasz? - powiedziałem, również szeptem. - Spotkałaś kogoś takiego, gdy byłaś z mamą?

- Absolutnie nie. - odparła.

- Elisa, musisz mi powiedzieć... Czy mama... czy rozmawiała o mnie... czy rozmawiała o mnie z taką osobą?

- Nie wiedziałabym o tym. Naprawdę. - odpowiedziała Elisa, po czym wstała i zaczęła wchodzić na górę. Kiedy już tam była, obróciła się i zapytała:

- Jak te wszystkie sprawy między tobą a matką się potoczą? Za każdym razem, gdy wspominam twoje imię, ona milknie i nie chce nic więcej mówić. To całkiem bez sensu.

- Siły nieczystego wszechświata - odparłem retorycznie.

- Co? - zapytała siostra.

- Nic z tego, co kieruje kimkolwiek, nie ma żadnego sensu, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś. To tylko nasze głowy, jak tato zawsze powtarza.

- Cokolwiek to oznacza. Tak czy inaczej, ani waż się wspomnieć o tym, co ci powiedziałam. Nic więcej ci już nie powiem. - zakończyła, po czym wyszła.

Poszedłem za nią do salonu. Ojciec siedział na tapczanie obok matki, która otwierała pudła i wyciągała z toreb różne rzeczy, przypuszczalnie pokazując, co kupiła podczas wyjazdu z Elisą. Usiadłem na krześle naprzeciw nich.

- Cześć, dziecinko - powiedziała matka.

- Cześć mamo - odparłem, po czym zwróciłem się do ojca. - Tato, mogę o coś spytać?

Ciągle wydawał się trochę majaczyć.

- Tato?

- Twój ojciec jest bardzo zmęczony, skarbie.

- Wiem, przepraszam. Chciałem tylko zapytać o jedną rzecz. Tato, kiedy rozmawiałeś z tamtym człowiekiem, wspomniałeś coś o trzech... nazwałeś je „zasadami”.

- Państwa, bóstwa. - odparł ojciec z głębin swego przygnębienia. - Przeszkody dla czystej koncepcji.

- Tak, ale czym jest *trzecia z zasad*? Nigdy nic o niej nie mówiłeś. Ale ojciec rozkojarzył się i wpatrywał się teraz, niepokieszony, w podłogę. Moja matka, mimo to, uśmiechała się. Bez wątpienia słyszała wszystko, co ojciec mówił, wiele, wiele razy.

- Trzecia zasada? – powiedziała, wydmuchując kłęb papierosowego dymu w moją stronę – No cóż, to są rodziny, kotku.



Od tłumacza

Na powstanie *Czystości*, złożyło się kilka czynników. Tekst powstał w 2002 roku jako reakcja pisarza na wydarzenia społeczno - polityczne w USA¹. Mowa tu oczywiście o ogólnonarodowym krachu poczucia bezpieczeństwa, masowej fobii przed zagrożeniami mogącymi uderzyć praktycznie nikąd. Kryzys ten zbiegł się w czasie z osobistymi problemami Ligottiego, cierpiącego od dawna na dwubiegunowe zaburzenie afektywne, zwane też powszechnie psychozą maniakalno - depresyjną. To zderzenie ogólnego bankructwa pewnych wartości społecznych, osobistego nieszczęścia (pisząc *Czystość* Ligotti znajdował się akurat w fazie hipomanii, co przyznał w jednym z wywiadów²) i konsekwentnie budowanego od lat światopoglądu zaowocowało tekstem, w którym Ligotti rozprawia się - choć z konkluzją poczucia ostatecznej bezsilności wobec ich wszechwładzy - z „fikcjami” na których ufundowane jest nasza „ułuda dobrego samopoczucia”.

Nie jest to jednak tekst polityczny ani socjologiczny. Wprost przeciwnie - oparty na osobistym doświadczeniu postrzegania świata rozrasta się w uniwersalną wizję egzystencjalną, gdzie okoliczności mogą co najwyżej stanowić dowód na to, co względem własnego istnienia objawia się mocą przeczuc.

Czystość to także jedno z najbardziej „schulzowskich” opowiadań Ligottiego, może nie konkretnie w stylu, który Ligotti wyraźniej naśladował w innych tekstach, ale z pewnością pod względem obecności pewnych charakterystycznych dla pochodzącego z Drohobycza klasyka motywów.

Mamy zatem młodego bohatera, przemierzającego sytuujące się gdzieś pomiędzy jawą a snem krajobrazy dzieciństwa, które kreowane są na wpół rzeczywistym doświadczeniem, na wpół bogatą wyobraźnią

i specyficzną wrażliwością dziecka wchodzącego w samodzielne życie. Przestrzeń ta jest, pomimo swej prowincjonalności i oddalenia od centrów ważnych wydarzeń, przestrzenią labiryntową i magiczną, wypełnioną dziwnymi ludzkimi formami, będącymi bardziej projekcją lęków i pragnień niż postaciami z krwi i kości; jest także naznaczona nieuchronnością ostatecznego rozpadu i odejścia w zapomnienie.

Mamy też postać ojca - zmitologizowanego, „wznoszącego się niczym wieża”, „Kopernika i Galileusza” wiedzy tajemnej - niby czysto naukowej, a jednak odnoszącej się do mistycznych aspektów istnienia, wprowadzającego syna w tajemnice swej sztuki. Mamy silne, dominujące i niezależne postaci kobiece - matkę, z którą bohater prowadzi cichą wojnę i siostrę Elisę, podległą matce, a jednak na swój sposób potrafiącą zaakcentować swoją odrębność. To także matka i Elisa wykazują większe zainteresowanie sprawami praktycznymi, podczas gdy ojciec bez reszty angażuje się w swoje tajemnicze badania nad „czystą koncepcją istnienia”.

Zatrzymajmy się na chwilę przy labiryncie Ligottiego - mrocznej konstrukcji ciasnych uliczek i zrzuconych budynków, owego „zwichniętego rajy niebezpieczeństwa i rozpadu... walących się domów upakowanych niezwykle blisko siebie... wypalonych domów chylących się ku zupełnej zagładzie... domów ziejących czarnymi wyrwami, gdzie niegdyś były drzwi i okna... i pustych pól, nad którymi świecił księżyc, który w jakiś sposób był inny niż ten, widziany gdziekolwiek indziej na Ziemi.”

Labirynt Ligottiego ma swoje centrum - nie jest to dom rodzinny bohatera, lecz dom jego przyjaciółki Candy. Usytuowane są one na dwóch przeciwstawnych biegunach i mogą być traktowane w kategoriach relacji punkt wyjścia - punkt dojścia: o ile dom rodzinny jest przestrzenią aktywnego „wychodzenia naprzeciw” rzeczywistości w której „nic do nikogo nie należy”, o tyle dom Candy jest miejscem doskonałej pustki - ostatecznego rozkładu i zaniku „ja”, usytuowanego w całej, nieprzeniknionej sieci czasu i rojeń; destrukcji sztucznego bytu, który jest zawsze wtórny w stosunku do warunków, które go kreują. Owa pustka, to doskonałe odosobnienie od mitów, które dla własnego - pozornego -

¹ <http://theteemingbrain.wordpress.com/interview-with-thomas-ligotti/>

² tamże

zbawienia wytwarza człowiek, staje się ostatecznym celem egzystencji, nie mogącej unieść własnego ciężaru, uwikłanego w konieczności stwarzane przez te zasady i w słabości, które są przez nie implikowane. Być może pragnienie bohatera, aby skulić się w jednym z kątów domostwa i nigdy więcej nie wychodzić, jest jedynym zwycięstwem, jakie odnosi w swojej walce z „zasadami” i „zapożyczeniami” jego ojciec, bezskutecznie usiłujący na drodze swych ezoterycznych prac wypreparować z ludzkiej jaźni owe spajające je „absurdy”. Na wpół wyobrażony labirynt w *Czystości* jest zatem drogą do tego, co James Trafford³ określa jako „bierne rozproszenie świadomości podmiotu” oraz „oświecenie w pustce”: tylko przez błądzenie po meandrach własnej przestrzeni psychicznej można ostatecznie zdyskredytować nieprzystawalność i wrogość form, w jakie jednostkę wtłacza rzeczywistość.

Labirynt Ligottiego ma także swojego potwora, który ostatecznie zostaje – zgodnie z prawidłami opowieści inicjacyjnej (albowiem z tego typu historią mamy do czynienia) – pokonany. Hermafrodytyczny policjant – morderca dzieci jest nieomal figurą pierwotnej siły, reprezentującą czające się u podstaw rzeczywistości zagrożenie – wspomnianą wrogość i nieprzychylność świata wobec życia jako takiego; jest też stróżem tych podstawowych zasad. Zniszczenie go nie znosi jednak nieprzychylności świata, nie odmienia, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jego istoty – groźny labirynt po zgładzeniu Minotaura nie przestał ani na chwilę być groźnym labiryntem. To jest – zdaje się mówić Ligotti – podstawowa cecha uwikłania w koszmar istnienia: nie można świata oswoić, nie można zmienić zasad, które świat w nas wpaja dla nasycenia kruchej iluzji naszego dobrego samopoczucia. Można jedynie samemu dobrowolnie wyzbyć się wszelkich złudzeń, samemu zrezygnować z uczestnictwa w świecie na rzecz mniejszego koszmaru – świadomego bycia nikim. Niestety – albo i na szczęście – możliwość ta jest zarezerwowana wyłącznie dla nielicznych,

³ James Trafford *“The Shadow of a Puppet Dance: Metzinger, Ligotti and the Illusion of Selfhood”* - obszernie fragmenty przetłumaczonego artykułu można znaleźć pod adresem <http://www.zacmienie.org/cien-tanca-marionetki/>

wyposażonych w specyficzny aparat woli i wrażliwości i nie może się w związku z tym nigdy stać zjawiskiem kulturowo masowym. Ta wizja jest bez wątpienia ekstremalnie pesymistyczna, chciałoby się rzec – brutalna i krzywdząca. Pomimo to – jest w niej coś niepokojąco kuszącego. I nawet jeśli nie podzielamy z Ligottim jego poglądu na życie, racjonalizując go sobie jako efekt choroby psychicznej pisarza, to jego wizje potracają w nas skutecznie ukrywane i spychane w nieświadomość struny wszelkich mrocznych przeczuć i wszelkiego niepokoju, od których w gruncie rzeczy nie można się nigdy wyzwolić.